



Tadeusz Mieszko

WINDA DO NIEBA



Tadeusz Mieszko

WINDA DO NIEBA

 SAGA
EGMONT

Tadeusz Mieszko

Winda do nieba

Saga

Winda do nieba

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2019, 2021 Tadeusz Meszko i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone
Redakcja i korekta: Piotr Tomilicz
Tłumaczenia tekstów: jeżeli nie podano inaczej tłumaczenie autora

ISBN: 9788726969047

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Część I

36900 kilometrów do Ziemi (orbita geostacjonarna)

Wstęp: Fallen Angel

Bart Greygallo spadał. A może nie spadał, a leżał naćpany w rynsztoku lub brał udział w wirtualnej grze? Dzisiaj niemożliwe było odróżnienie złudzenia od rzeczywistości, fałszu od prawdy. Jednak to chyba nie była senna wizja. Po jego skroni spływała strużka krwi, a gdy dotarła do kącika ust, mimowolnie polizał ją, wyczuwając cierpki smak. Jeżeli krew była prawdziwa, to i upadek chyba był realny.

Ledwo kilka godzin temu marzył, aby wyrwać się z okowów grawitacji planety, zerknąć na nieosłonięte atmosferą nagie gwiazdy. W tej chwili czuł się bardziej samotny niż misjonarz w amazońskiej dżungli, żeglarz w rejsie dookoła świata, a nawet górnik na księżycu Urana. Nie miał dostępu do żadnego serwisu internetowego, nie mógł wybrać połączenia z żadną osobą. Przed wystrzeleniem go w kosmos kapsułę ratunkową zdewastowano, pozbawiając możliwości komunikacji. Stracił szansę bycia mądrym mądrością innych i chociaż czasami Internet czynił z niego głupca, to w większości przypadków pozwalał poszerzyć granice wiedzy. Na szczęście niektóre fakty miał wryte w pamięć.

Spadał w kapsule ratunkowej, obserwując na monitorach zarówno miejsce, z którego go wystrzelono, jak i teren, gdzie się rozbije. Chyba jedynie cynizm oprawców sprawił,

że pozostawiono mu sprawne kamery, aby mógł oglądać postęp upadku. Ale to jeszcze potrwa; spadał z wysokości 37 tysięcy kilometrów – z orbity geostacjonarnej stacji Top Level – najwyższego poziomu kosmicznej windy. To nie 39 kilometrów Felixa Baumgartnera czy 41 kilometrów Alana Eustace’a i kilka minut swobodnego spadania. Jego czekała długa – liczona w godzinach – droga do domu. Spadając z ich prędkością, na chwilę rozbicia się na kamiennym bruku czekałby ponad dobę. Jednak użyto działa magnetycznego i kapsuła została wystrzelona z szybkością kilka razy przekraczającą prędkość dźwięku. A to i tak ponad dziewięć godzin upadku, co beznamiętnie odliczał zegar.

Był uwięziony w elektromagnetycznym tunelu windy do nieba, skazany na ciągle przyglądanie się jednemu punktowi nad lub pod sobą. Musiał zdecydować, na co chce patrzeć: oddalającą się stację kosmiczną windy i Księżyc czy rosnącą kulę ziemską. Księżyc był w pełni, lecz pomimo że znajdował się w odległości mniejszej o dziesięć procent od dystansu dzielącego go od Ziemi – wydawał się drobny. Zawieszony w pustce, jasnoszary punkt wielkości monety. Ziemia była większa, lecz wciąż pozostawała odległą błękitno-białą kulą z ledwo widocznym zarysem brązowych kontynentów. Dopiero za kilka godzin wypełni pole jego wzroku i wtedy będzie mógł dostrzec trzy pylony windy oraz zabudowania Dawapolis. Lecz wcześniej minie stację Middle Level windy i przeleci przez Oko Boga.

Sprawdził poziom tlenu w kapsule: nie straci przytomności z powodu problemów z oddychaniem; gdy wpadnie w atmosferę, będzie świadomy. Wtedy kapsuła rozgrzeje się do czerwoności i, jak należy przypuszczać, szybciej spłonie, niż rozbije się o ziemię. Uderzenie fali dźwiękowej usłyszą z pewnością wszyscy w mieście. Grom z nieba skłoni ich do uniesienia głów, wielu zauważy ognistą smugę. Może niektórzy wypowiedzą życzenie, biorąc go za

spadającą gwiazdę? Czy był gwiazdą? Z pewnością nie. Jeszcze kilka tygodni temu był jednym z sześciu milionów obywateli miasta, na które spadał. Dlaczego więc spadał jak gwiazda? „Zdegustowany i zmęczony, przygnębiony, grzeszny, opętany – Bóg tylko wie od jak dawna” ¹ .

Miał dużo czasu, aby się nad tym zastanowić... Mógł uznać, że spadanie zaczęło się ćwierć wieku temu, w dniu tragicznej śmierci rodziców. Lecz podążając tym tropem, mógłby powiedzieć, że zaczęło się już wcześniej – czterdzieści siedem lat temu, w dniu jego narodzin. Lub jeszcze wcześniej, gdy rodzice postanowili zamieszkać w mieście, aby ojciec mógł wziąć czynny udział w projekcie elektromagnetycznej windy kosmicznej ELSPEL ² . Tylko że to też byłaby błędna droga. Ostatecznie zdecydował, że powód obecnego spadania nastąpił niecały miesiąc temu, kilka dni przed Wielkanocą 2069 roku. Dokładniej w Wielki Czwartek, kiedy ćwiczył na perkusji. Dzień jak co dzień. Pierwsze godziny nie zwiastowały radykalnej zmiany w jego życiu, lecz nim nadeszło Święto Zmartwychwstania, wszystko się wywróciło i już pędził nowym torem, początkowo nawet o tym nie wiedząc.

Rozdział I

Welcome to the Jungle Oferta Kuchni

11 KWIETNIA, WIELKI CZWARTEK

W Wielki Czwartek obudził go komunikat o połączeniu wizyjnym. Z niechęcią zezwolił na nie. W ciemności zamkniętych oczu rozświetlił się hologram dziewczyny w białej koszuli, z czarnymi włosami i okrągłych oczach. W jego typie. Żałował, że była ubrana. I że nie leżała obok. Czy nikt nie pomyślał, że tak zgrabne rozmówczynie wprowadzają klientów w kompleksy? A może o to chodziło? Takich dziewczyn nie spotkasz na ulicy. Już szybciej w knajpie czy burdelu, ale najczęściej w snach lub wirtualnych światach. Niech będzie, pośnijmy dalej...

- Miło mi pana powitać przed świętami - ideał piękności odezwał się aksamitnym głosem. Bart znał wiele utworów, w których pięknie współbrzmiałyby z perkusją. - Dzwonię w imieniu pana Kuchni. Jest pan naszym najlepszym klientem, zawsze opłaca pan rachunki w terminie, ale niebawem kończy się pańska umowa.

Westchnął z rezygnacją. Koniec marzeń, to był automat akwizycyjny. Nie do przegadania, sztuczna inteligencja, która się nie nudziła. Nie warto było przerywać połączenia, gdyż będzie go nagabywać w kolejne poranki, które są ulubioną porą ataku.

- Czy wypił pan już pierwszą kawę? - zapytała z troską.

- Nie... - burknął. Co za irytujące pytanie! Przecież z pewnością odczytywała parametry jego ciała i wiedziała, że leży w łóżku.

- To mam dla pana wspaniałą wiadomość! - dziewczyna z radości klasnęła w dłonie. Na szczęście niezbyt głośno. - Do naszego zestawu automatu do parzenia kawy, wyciskania soków ze świeżych owoców oraz miksowania drinków po przedłużeniu umowy dodamy panu nieodpłatnie drona dostarczającego wybrany napój do łóżka.

- Byłoby miło... - dopiero teraz poczuł suchość w gardle. Roboty wciąż nie radziły sobie ze schodami i na zamówioną filiżankę kawy lub butelkę piwa musiał czekać długie minuty.

- Ale to nie wszystko - ślicznotka nie przestawała szczebiotać. - Ma pan jakiś ulubiony napój?

- Piwo... - wymruczał. Dziewczyna wprost rozplynęła się w uśmiechu.

- Nasza lodówka będzie przez miesiąc bez opłat uzupełniać zapas piwa tak, aby nigdy nie zabrakło panu tego schłodzonego napoju.

„Szkoda, że nie podpisałem tej umowy wczoraj” - pomyślał, przesuwając obraz rozmówczyni na dalszy plan. Na pierwszym wywołał lokalny serwis informacyjny.

ZNAMY KOLORY MODNE LATEM!

Słonica Eliza wybrała modne tego lata kolory. W tym sezonie będziemy ubierać się we fiolety i zgniłą zielen.

Z tego, co pamiętał, słonica już drugi sezon decydowała o kolorach spodni, koszul i staników. Kto jej na to pozwalał? Sztuczna inteligencja czy żywi ludzie?

NAJPOPULARNIEJSZY BLOG DAWAPOLIS!

„Pierdzę od rana do wieczora” najpopularniejszym blogiem, odwiedza go prawie połowa mieszkańców

*naszego miasta. Przypominamy, że prowadzi go
dziesięciolecie.*

„A ja pierdę w nocy” – skwitował tę wiadomość. „Tylko że nie prowadzisz bloga i nie zarabiasz na tym” – musiał dodać z żalem.

– Czyż to nie wspaniałe? – akwizytorka Kuchni przerwała mu przeglądanie wiadomości. Spróbował sobie przypomnieć, o czym mówi. Aha, przez miesiąc piwo za darmo do łóżka. Ciekawe, ile to będzie kosztowało po okresie promocji?

– A później? – zapytał.

– Za niewielką opłatą, a w tym tygodniu w promocyjnej cenie. Można przedłużyć opcję na cały okres umowy.

Wyraża pan zgodę na dodanie oferty?

„Witaj w dżungli, możesz spróbować żyć w świetle jupiterów, lecz nie otrzymasz tego za darmo”³. Cóż dodać?

– No, nie wiem...

– Nim podejmie pan decyzję, powiem panu o kolejnej fascynującej promocji.

– Tak... – wymruczał, mając ochotę ponownie zasnąć i odciąć zmysły od tych bzdur.

Mógłby już wstać, tylko po co? W Wielkanoc najtrudniej złapać klienta. Tak naprawdę dla branży turystycznej najgorsze były dwa okresy: post wielkanocny oraz ramadan. Bart nie lubił świąt wielkanocnych również z innego powodu. Przypominały mu o śmierci rodziców. To był napad bandycki zakończony podwójnym morderstwem. Bart studiował wtedy architekturę na Uniwersytecie Technicznym w Delft i szykował się do świątecznej wizyty, lecz nie zdążył ujrzeć ich żywych. Może gdyby przyjechał dzień, dwa wcześniej, nic złego by się nie stało? Albo zginąłby razem z rodzicami...? To były bezcelowe rozważania.

PRZEBIEŻKA NA BĘBNACH

Wytrzymał jedynie kilka minut. Nie pomogło przywoływanie snu z akwizytorką Kuchni w bikini. Wstał, nakazując przygotowanie lekkiego śniadania. Mieszkał w czteropiętrowej, wąskiej kamienicy wciśniętej między dom towarowy a galerię sztuki Grega i Gregory'ego, na uliczce wijącej się wzdłuż Dawy. Bart znał podobną zabudowę z Delft czy bardziej znanego Amsterdamu, gdzie każdy właściciel budynku chciał mieć dostęp do ulicy, w związku z czym budowano domy wąskie, lecz głębokie. Niegdyś była tu szkoła muzyczna, na strychu wciąż znajdowała się graciarnia instrumentów muzycznych oraz różnorodnych urządzeń elektrycznych, a na niskim parterze – sala koncertowa. Już bez rzędów krzeseł, lecz ze sceną na podwyższeniu i rozsuwaną kurtyną. Do budynku wchodziło się schodami, od razu na pierwsze piętro, gdzie funkcjonowała kuchnia i pokój dzienny. Na drugim były gabinety rodziców. Ojca – niemal pusty, oraz matki – od podłogi po sufit wypełniony książkami. Trzecie piętro zajmowały sypialnie. Poza jedną, należącą do niego, także pozostawały puste.

Mówi się, że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni, a w tym domu zginęli jego rodzice. Dlatego nie mógł się wyprowadzić. Dokończył jedynie studia licencjackie, a potem wrócił do miasta. Czekał na mordercę. Został policjantem i zaczął chodzić w patrolach po ulicach. Żył w mieszkaniu rodziców i wciąż czekał. Nie był Batmanem, nie mścił się na mieście za wszelkie zło. Nie tylko dlatego, że nie miał bat-mobilu. Nie czuł złości do miasta, nienawidził jedynie tego – lub tych – przez których stracił rodziców.

Niestety przesąd znany z kryminałów okazał się bzdurą: morderca nie wrócił. Po dziesięciu latach Bart uznał, że dalsze czekanie w domu na mordercę nie ma żadnego

sensu. Nie chciał już dłużej przebywać w miejscu, które pamiętało tragiczne wydarzenia. Poza tym dom był dla niego zbyt duży. W końcu zaczął przygotowywać się do przeprowadzki, lecz nie potrafił zdecydować się, co wyrzucić, a co jest warte przeniesienia pod nowy adres. Kartony i pootwierane szuflady wciąż przeszkadzały w poruszaniu się. Ostatecznie zrezygnował z wyprowadzki, lecz nie miał siły poukładać wszystkiego na swoich miejscach. Pozostał także dlatego, że jego rodzice otrzymali budynek od miasta w wieczne, darmowe użytkowanie i nie musiał martwić się o czynsz. Podjął jednak decyzję o odejściu z policji, choć nawyk spacerowania po dzielnicach występków i ocierania się o półświatkę pozostał w nim. Nie potrafił bez tego żyć. A że nie chciano go zatrudnić jako muzyka, to wyrobił sobie licencję prywatnego detektywa.

Później rozszerzył działalność na usługi w branży turystyki kosmicznej. Uczynił tak, gdyż chwilami miał już dość smrodu, który czuł, grzebiąc w prywatnych kloakach klientów. Lecz licencję na usługi detektywistyczne wciąż odnawiał. Status prywatnego detektywa miał określone przywileje, pozwalał mu na przykład wyłączyć lokalizator oraz automatyczną rejestrację obrazu i dźwięku. Inni uciekali od Wielkiego Brata, używając nielegalnego oprogramowania, on korzystał z tego za darmo i całkowicie legalnie.

Jeszcze za życia ojca sala koncertowa stała się salą wykładową. Ojciec ustawił tam ławy i prowadził zajęcia dla studentów. Po jego śmierci Bart poprzesuwał siedziska pod ściany i pomieszczenie znów stało się miejscem koncertów, a właściwie prób. Scena została zasłonięta kotarą, a na proscenium pojawił się zestaw perkusyjny do ćwiczeń. Składał się z szesnastu talerzy oraz dziesięciu bębnow z przodu i czterech za plecami. Tuż przed kolanami stał werbel i Bart każdą próbę rozpoczynał od krótkiej

rozgrzewki na nim. Później dołączała prawa noga; pedał stopy uderzający bijakiem w membranę dużego bębna przemieniał niegroźne dźwięki w złowrogi dudniący rytm. Po kilku minutach był gotowy do pracy z pozostałymi bębnami. Pałką omiatał tomy, floor-tomy, jak również zestaw roto-tomów. Bardzo lubił brzmienie tych ostatnich, lecz było ono zbyt specyficzne. Od razu kojarzyło się z nagraniem *Time* Pink Floyd, nie używał więc ich zbyt często. W końcu przychodził czas na blachy. Po krótkiej jeździe na raidzie omiatał inne talerze. Od 12-calowego splasha, poprzez podwójny hi-hat, średniej średnicy crash oraz china, po 20-calowy ride. Kończył na wiszącym metrowym gongu, wygrywając Wielki Wybuch. Na zakończenie, dla uspokojenia, sprawdzał dźwięk przeszkadzajek. Dopiero po takiej rozgrzewce czuł się gotowy do przećwiczenia wybranego utworu. Obecnie, zainspirowany rozmową z Kuchnią, postanowił wyżyć się, grając *Welcome to the Jungle* Guns N' Roses. To był ostry łomot, który idealnie nadawał się do wytłumienia emocji.

Bart chciałby zarabiać grając na bębnach, lecz nie było takiego zapotrzebowania. Do kotleta panierowanego wystarczało ciche odtwarzanie evergreenów, a w dyskotekach królowało bębnienie w jednostajnym rytmie, generowane zwykle przez programy komputerowe. Popularnością cieszyła się sieczka w rodzaju: „La, la, la, kocham cię. Dlaczego ty mnie nie?”. On też był zmuszany do grania kawałków Beatlesów, próbował jednak przemycić nagrania kapel rockowych, takich jak: *Lucky Man* Emerson, Lake & Palmer czy *Talk to the Wind* King Crimson. To też były przytulanki, lecz Bart przynajmniej wiedział, że na co dzień kapele te grały inną muzykę. Podobno na nowych światach do łask powróciło country, ale on nie czuł tego klimatu. Może dlatego, że nie znajdował się na zagubionej w kosmosie łupince? Mimo wszystko nie miał ochoty

sprawdzać, czy pokochałby pieśni opiewające wirowanie na skale niewiele większej niż jego mieszkanie. Na dodatek wykonywane przy akompaniamencie banjo. Istniała też muzyka kwantowa – którą on znał jako konkretną, licząca sobie już z półtora wieku – ale to były smaczki dla koneserów wygrywane w filharmoniach dla kilkunastu słuchaczy zatopionych w oparach psychodelicznych doznań. A on chciał grać głośno. I na żywo. Zespołowi skrzykiwanemu *ad hoc* przed występem narzucił jedną zasadę: graj na czym chcesz, ale bez elektronicznego wspomaganie. To miała być prawdziwa muzyka, wszystkie dźwięki musiały być wydobywane w czasie rzeczywistym, a przepuszczać je było wolno jedynie przez wzmacniacze tranzystorowe, a jeszcze lepiej lampowe. W mieście funkcjonowało kilka lokali, w których grano na żywo i raz na pół roku zgadzano się na jakiś „trudniejszy” występ. Co za ironia – rock trudniejszą muzyką! Bart odwiedzał je regularnie, a gdy udawało mu się załatwić występ, przeprowadzał z zespołem kilka prób i... na czas jednego wieczoru zostawali rockmanami. Nie potrafił zrezygnować z grania. Wprawdzie był to tylko rock’n’roll, ale on go lubił. Chyba tylko on i grupka dinozaurów pozostawali mu wierni. Dla młodych rock był niczym puszczenie znaków dymnych: całkowicie zapomniani, niezrozumiali kod.

Muzyka stanowiła pasję Barta. Szkoda, że nie mógł poświęcić jej całego czasu, zanurzyć się w tym żywiole bez reszty. Jego marzeniem było dać się unieść prądom w nadziei, że pośród licznych mielizn wyłowi drogocenne perły. Ale były też inne fascynacje. Teraz wygasłe, a przynajmniej uśpione. Swoje zauroczenie kosmosem przeniósł w ułomnej formie na sposób zarabiania pieniędzy, ponieważ nowych klientów znajdował wśród pasażerów windy kosmicznej. Natomiast umiłowanie architektury miało zastosowanie w jego podejściu do rozwiązywania

problemów. Każdą trudność potrafił bowiem rozłożyć na elementy nośne, na których opierała się bryła problemu, często tak rozbuchanego, że trudno było nawet dojrzeć filary.

Te dwie pasje spotkały się ze sobą tylko w jednym zrealizowanym projekcie. Pylony windy kosmicznej miały kształt, który Bart uwiecznił kiedyś na odwrocie zawiadomienia o przyznaniu ojcu Nagrody Nobla. Papieru używano bardzo rzadko, lecz Bart jako chłopiec wołał rysować projekty domów przyszłości, stacji kosmicznych i baz planetarnych na papierze niż na ekranie monitora. Ojciec nie był zły za zniszczenie dokumentu, a nawet zaczął mu oddawać każdą kartkę papieru zadrukowaną tylko z jednej strony. Zeskanował też projekt pylonów Barta, mówiąc, że mu się podoba i że podrzuci go do biura projektowego, aby architekci wzięli go pod rozwagę. I tak właśnie się stało. Nie otrzymał co prawda honorarium, lecz na tabliczkach informacyjnych pojawiło się jego nazwisko razem z adnotacją, że inspiracją projektu stał się rysunek Bartłomieja, sześciolatniego syna głównego konstruktora, Władysława Grejgałło. Był to jedyny jego projekt przeniesiony z kartki papieru na trójwymiarową bryłę.

Waląc w bębny, gasił swoją złość. Wkurzało go, że porzucił architekturę, a ludzie porzucili marzenia o dotarciu na skraj wszechświata, skupiając uwagę na wbijaniu kilofa w skały planetoid z myślą o zysku. Nie wszystko jednak było stracone. Wiedział, że po kilkuletniej modernizacji winda miała wznowić działalność, wynosząc na orbitę elementy pierwszego międzygwiazdowego statku kosmicznego.

Rozdział II

City of Hope

DAWAPOLIS

Dawapolis powstało w Afryce z inicjatywy Unii Europejskiej, przy niewielkim wkładzie finansowym Chin. Pod miasto i windę do nieba wydzierżawiono na dziewięćdziesiąt dziewięć lat wyżynny, bury teren na styku granic trzech krajów o różnej wierze: Etiopii, Somalii i Kenii. Po pół wieku miasto okazało się ostatnim pełnym oddechem świata jego rodziców. Agonia zjednoczonej Europy trwała wiele lat, chociaż jej koniec od dawna był dla wszystkich oczywisty. Nim Bart osiągnął pełnoletność, w Europie powstało ponad sto państw i królestw i księstw zamieszkałych w dużym stopniu przez Afrykańczyków i Arabów. Europejczycy uciekali z kontynentu jak szczury z tonącego okrętu w takiej panice, że do miasta nie wpuszczono nawet autochtonów z zagarniętych terenów. Więcej w Dawapolis było teraz białych niż w Europie. Niektórzy mówili, że to zemsta za masowe migracje z początku wieku.

Miasto miało być noclegownią dla pracowników komercyjno-naukowego projektu windy kosmicznej. Zakładano, że będzie liczyć nie więcej niż kilkaset tysięcy mieszkańców. Wszystko zmieniło się po kolejnej fali masowych migracji z połowy wieku. Zalew imigrantów z Afryki i Azji spowodował, że większość Europejczyków postanowiła porzucić zatapiający przez przesiedleńców, ale i

podnoszący się przez poziom oceanów, kontynent i przenieść się na wyższe, puste tereny. Już wcześniej Europejczycy postawili na Afrykę – Holendrzy zbudowali kilka zamkniętych kloszami miast na Saharze, Francuzi w Algierii, Niemcy w Kamerunie, a Anglicy w Sudanie.

Tym razem wybrano tereny wokół Dawapolis. Ostatnia fala emigrantów spowodowała, że miasto rozrosło się do sześciomilionowej metropolii. Najpierw Włosi i Hiszpanie, wypychani z własnego kraju przez przybyszów z Afryki, kupili ziemię na zachód od miasta, po lewej stronie rzeki Dawa, i przesiedlili tam setki tysięcy obywateli swoich krajów. Później Francuzi, po południowej stronie terenów Hiszpanów i Włochów, wybudowali dzielnicę francuską, a Niemcy niemiecką. W kilka lat po tym drobna, wiecznie uśmiechnięta, wyglądająca na uczennicę gimnazjum chińska minister wytargowała od Somalijszyków ziemię leżące na wschód od miasta. Urażeni brakiem własnych dzielnic islamiści somalijscy otrzymali tereny położone na południe od Chińczyków. Również Żydzi uznali, że za ciasno im w Izraelu i kupili trochę ziemi po prawej stronie rzeki, na południe od miasta.

Początkowo były to dzielnice o charakterze etnicznym, z czasem jednak okazało się, że silniejszy wyróżnik stanowi wiara religijna. Katolicy chcieli mieszkać blisko katolików, muzułmanie obok muzułmanów. Miasto podzielono na sektory, pozwalając na ich zasiedlenie według wyznawanego obrządku. Każdy sektor czcił innego Boga i dzisiaj nie mówiło się już o sektorach włoskich, francuskich czy żydowskich, a o sektorach chrześcijan, islamistów i judaistów. Wierzący w pomniejszych bogów oraz niewierzący w żadnego w większości mieszkali w dawnym sektorach: francuskim, niemieckim oraz chińskim. Niedługo Dawapolis reklamowano jako miasto, w którym cuda zdarzają się codziennie, zapraszając do odwiedzin miejsca,

gdzie zbudowano windę kosmiczną – nadzieję masowego podboju kosmosu. „Jest miasto nadziei poza naszymi lękami, w którym dzieją się cuda, w którym można usłyszeć prawdę. Nie chciałbyś odwiedzić miasta nadziei?”⁴. Tak się nie stało. Życie zdecydowało, że zmieniło się w miasto wszelkich religii – i tych jednego Boga, i tych mniejszych bogów, a nadzieja pozostała jedynie w modlitwie do wybranego absolutu.

Podział na sektory nie był idealnym rozwiązaniem. Chrześcijanie uważali, że jako najliczniejsza grupa mają prawo zajmować większe terytorium, zwłaszcza że niewierzący w żadnego boga nie powinni posiadać miejsca ani na tej ziemi, ani w niebie, skoro w istnienie nieba nie wierzyli. Z tych niesnasek korzystał Bart, znajdując najwięcej klientów w grupie osób zagubionych wśród religijnych nakazów i zakazów. Parafrazując opinię o Szanghaju, mówiło się: jedz u buddystów, rób interesy z judaistami, zabaw się w sektorze bogów mniejszych, a pij tam, gdzie osiedlili się bezbożnicy. Ale od sektorów chrześcijan i islamistów trzymaj się z daleka. Zwierzyną łowną dla Barta byli ci, którzy nie przestrzegali tej reguły. Najważniejsze okazywało się to, gdzie zostałeś przyłapany na występku. Będąc hindusem, mogłeś do woli wcinąć hamburgery z wołowinką, o ile nie robiłeś tego w sektorze hinduistycznym. Podobnie judaiści mogli opychać się wieprzową polędwiczką, jeśli tylko omijali enklawę judaistów. Do rzadkości należały przypadki ekstradycji podejrzanych, chociaż i to się zdarzało. Mahometanina pijącego sake w sektorze chrześcijańskim wymieniano wtedy na przykład na chrześcijanina obżerającego się w piątek golonką w sektorze muzułmańskim.

Bart mieszkał po zachodniej stronie rzeki Dawa, w sektorze Starego Miasta, który w żargonie mieszkańców zwany był Unzi Guddo od nazwy wchłoniętej przez

metropolię wioski. Tu mogłeś robić wszystko, co tylko chciałeś – to była strefa wolna od religii. Z domu dojeżdżał koleją magnetyczną na północny cypel sektora, gdzie rozpoczynał pracę. Tak zwany Klin Pokoju wcinał się w koryto rzeki, oddzielając chrześcijan od muzułmanów. Tam właśnie znajdował najwięcej klientów, gdyż turyści łatwo tracili orientację w terenie i szli napić się do islamistów lub pociupciać do chrześcijan. Jeśli nie udawało mu się namierzyć klientów od razu, posuwał się pieszo w kierunku południowym, aby – już mocno pod wpływem alkoholu – trafić ostatecznie do domu. Jednak na dzisiaj zaplanował inną trasę. Najpierw zamierzał odwiedzić plac świętego Marka w centrum. To nie był jakiś tam plac świętego. To był oryginał przeniesiony cegiełka po cegiełce z zatopionej Wenecji.

BICZOWNICY I BĘBNIARZE

Aby przedostać się na plac, musiał poczekać, aż przejdzie pochód biczowników. Pośród dwóch gęsto upchanych szpalerów widzów, z których wielu trzymało bębny, przepływał korowód półnagich, bosych mężczyzn okładających się pejcami po plecach i ciągnących ciężkie łańcuchy po zabytkowych płytach chodnikowych uratowanych z Wenecji. Co za barbarzyństwo! W sieci sprawdził, że zwyczaj ten wywodził się z hiszpańskiej prowincji La Rioja, gdzie biczowników nazywano *picaos*. Ale popularny był również na Filipinach.

Biczownicy nie stosowali taryfy ulgowej, to nie była zabawa na pokaz; ci mężczyźni czuli się tak źle ze swoimi myślami, że postanowili upuścić je razem z krwią. Mówili, że ból jest niczym wobec ulgi, którą czują po samobiczowaniu. Był to drastyczny sposób uciszenia wyrzutów sumienia, lecz nikt nie mógł odmówić im prawa

do pokuty. Jednym wystarczało przyrzeczenie poprawy, inni potrzebowali wyklepania dziesięciu zdrowasiek, a niektórzy byli żądni własnej lub cudzej krwi. Ciekawe, że sumienie dręczyło najbardziej ludzi młodych płci męskiej.

Niewykluczone, że starsi wiekiem nauczyli się, że sumienia można pozbyć się w mniej bolesny sposób. Dla Barta pochod ten stanowił raczej rodzaj wyzwania, jakie pojawiają się w głowach ludzi wchodzących w życie. Przyrównywał to do pogoni za bykami organizowanej w hiszpańskiej Pampelunie. Ani byki, ani pejcze nie były przejawem religijnej pokuty, a sposobem odnalezienia granic własnej głupoty.

Wiele świąt wywodzących się z różnych religii i regionów świata było tak popularnych, że uzyskiwano zgodę na ich organizowanie w sektorze Unzi Guddo. Boże Narodzenie, Wielkanoc i święto Paschy, Boże Ciało, Aszura, Święto Przerwania Postu Iid-ul-Fitr, Święto Ofiar Iid-ul-Adha, święto pojednania Yom Kippur, Chanuka, obchody rocznicy Oświecenia Buddy, Dzień Sanghi, Makar Sankranti, Festiwal Lamp Diwali, Święto Rydwanów Makar Sankranti – były z chęcią obchodzone przez wyznawców innej wiary. A do tego należało jeszcze dodać święta narodowe: Zburzenie Bastylii, Dzień Niepodległości, Dzień Reformacji. Było ich sporo, a każdy oznaczał jednocześnie dzień – lub dni – wolne od pracy. Najgorszy okazywał się post przed Wielkanocą oraz czas Ramadanu. Na Wielkanoc przyjeżdżało sporo turystów, wielu gotowych poddać się biczowaniu lub ukrzyżowaniu. Byli tak zafiksowani religijnie, że nawet nie myśleli o zwiedzaniu miasta czy skokach w bok. Czas Ramadanu prezentował się nieco lepiej, ale wszystko rozgrywało się w głębokich piwnicach, tam, gdzie nie sięgał wzrok Proroka, a tłumy muzułmanów mogły do woli obżerać się zabronionymi wiktuałami.

Patrząc na krew spływającą po plecach biczowników, Bart stwierdził, że chyba nie lubi żadnych świąt. Ta myśl lekko go zasmuciła. Dlaczego nie cenił świąt? Przecież była to okazja do spotkań z innymi, radości, a nawet zastanowienia się nad samym sobą. Tylko dlaczego – to pytanie tkwiło w nim od zawsze – czas zabawy lub wyrzeczeń i postu miał wyznaczać kalendarz wiary? Wszak dziś nawet kalendarz pór roku nie regulował terminów siewu czy zbiorów plonów. Po zastanowieniu uznał, że nie cierpi żadnych rocznic. Pierwszej kupy na nocniku, wspomnienia pierwszego rozbitego kolana, pierwszego pocałunku – którego nie mógł sobie przypomnieć – pierwszego zdanego, jak i niezdanego egzaminu, pierwszego wychylonego kufła piwa i kieliszka wódki, dat urodzin, imienin i śmierci. Zwłaszcza śmierci.

Zaczął padać deszcz, dodając do świstów batów oraz śpiewów chórów kościelnych tępy odgłos uderzeń kropel o nieregularne bańki osłony przypominającej błony skrzydeł motyla. Żadna kropla nie miała prawa spaść na głowy mieszkańców, bo była zbyt drogocenna, by ją trwonić. Bańki parasola nad miastem zbierały deszczówkę w zbiornikach, aby po odfiltrowaniu metali ciężkich oraz bakterii i wirusów mogła zostać użyta w sieci miejskiej i na farmach specjalizujących się w uprawie roślin.

Bart lubił deszcz, chociaż pamiętał go jedynie z dzieciństwa, kiedy nie rozpięto jeszcze parasola nad miastem. Najbardziej tęsknił za dniem, w którym matka wysłała go po słoik majonezu. Działo się to przed Wielkanocą. Nie mogło zabraknąć go na świątecznym stole, a do zamknięcia sklepów pozostała tylko godzina. Nikt nie przyjmie zamówienia z dostawą o tej porze, a jeśli nawet, to dron albo robot podrzuciłby słoik dopiero we wtorek.

W Wielki Piątek jeszcze wierzył w Boga, a w Wielką Sobotę go zgubił. Dzisiaj już nawet nie pamiętał, jak do

tego doszło. Najprawdopodobniej stało się to w czasie snu: gdy kładł się spać, Bóg jeszcze był, a po przebudzeniu zniknął. Trudno nazwać to wielkim wydarzeniem, chodziło raczej o sumę błahostek, które pewnego dnia powodują, że podjęta decyzja niczym iskra rozświecila mrok zagubienia, i już wiesz. Że nie pójdziesz jutro do pracy, że rzucisz palenie, przestaniesz pić, że nie kochasz już tej jedynej, wybranej kobiety. Wielkie rzeczy często zaczynają się od drobiazgów. Chodzi o to, żeby nie przegapić tej chwili; uświadomić sobie, że to nie ulotna myśl, a początek czegoś ważnego. Co prawda nie było to jabłko Newtona ani przelewająca się woda w wannie Archimedesesa, lecz w jego życiu odegrało taką samą rolę. Bo cóż jest bardziej wartościowego od życia w zgodzie z samym sobą? Wtedy przestał czekać na Wielkanocną Niedzielę. Wciąż cieszył się na myśl o szukaniu ukrytych jajek, na wspomnienie zastawionego stołu ciekła mu ślinka, lecz nie czekał już na Zmartwychwstanie. Kiedy jednak matka poprosiła go, by podskoczył do sklepu, mimo paskudnej pogody zrobił to z ochotą.

Niespodziewanie rozpętała się ulewa. Krople deszczu były tak duże, jak czereśnie i uderzały tak mocno, jak kulki z farbą używane w paintballu. W kilka sekund przemókł do suchej nitki, a ulicą zaczęła płynąć rwąca rzeka. Nie przeszkadzało mu to. Zszedł z chodnika w ten potok i zaczął kroczyć, rozchlapując wodę przed sobą. Brodził w niej i śpiewał na cały głos. Mógł to robić, ponieważ krople tak głośno bębniły po dachach domów i samochodów, że nic innego nie było słychać. Jak w filmie *Deszczowa piosenka*. Nie miał jedynie parasola, który mógłby wręczyć zdumionemu policjantowi. Policjanta zresztą też nie znalazł. Ale i tak był szczęśliwy, jak nigdy wcześniej. Do dzisiaj nie potrafił zrozumieć, dlaczego. Może deszcz uświadomił mu,

że świat bez Boga jest równie wspaniały? Czystszy, może bardziej groźny, lecz i bardziej majestatyczny?

W końcu religijni masochiści zniknęli za rogiem uliczki, a szpalery połączyły się, zasklepiając krwawe ślady na weneckich płytach. Deszcz nie zdoła ich splukać, w nocy będą musiały wyjechać automaty sprzątające z silnymi detergentami. Bart szybko przedarł się na plac i stanął w pierwszym rzędzie ludzi, w morzu werbli, bębenków i bębnów. Ten tłum oczekiwał na udział w koncercie nazywanym „Rompida de la hora”. To również był zwyczaj zaadaptowany z hiszpańskiego interioru, z Aragonii. Jednak Bart przyszedł, aby móc dokładnie obserwować występ japońskich perkusistów. Można powiedzieć, że byli suportem do właściwego koncertu. W tym roku rytm miał nadawać olbrzymi bęben taiko. Bart przejrzał wcześniej zasoby internetowe i wiedział, że nie był to największy bęben świata. Miał około dwa i pół metra średnicy. Wykonano go z jednego kawałka dwustuletniego drzewa suszonego przez pięć lat, i obciążnięto membraną ze skóry wołowej. Został ułożony na koźle w poziomie, aby stojący na podeście pałkarz mógł uderzać bachi – pałkami o średnicy trzonka do siekiery i długości siedemdziesięciu centymetrów. Barta ciekawiło, jak bębniarz da sobie radę z wygraniem oroshi – serii uderzeń w coraz szybszym rytmie, których kulminacją było zlanie się pojedynczych gromów w jeden potężny grzmot. Przed wielkim taiko ustawiono – już w pionie – cztery mniejsze bębny, a obok werble.

Spektakl rozpoczął się od pojedynczego uderzenia maczugą w duży kocioł. Na ten sygnał zareagował bęben o wąskim pudle przypominający dźwiękiem werbel, wygrywając melodię o brzmieniu podobnym do gry na garnkach. Później dołączyły pozostałe instrumenty perkusyjne brzmiące już basowymi pomrukami. Główny pałkarz nie był chłopem na schwał. Zwyczaj chudzina z

długimi włosami spiętymi w sterczący kok. Wyglądało to tak, jakby uderzał w membranę bez wysiłku, nawet od niechcenia, lecz Bart wiedział, że to tylko złudzenie. Kilkuminutowa gra na takim bębnie pochłaniała tyle kalorii, co godzinny bieg na bieżni treningowej. Wśród bębniarzy znajdowała się też kobieta. Muzycy śmiali się, skakali po scenie i pokrzykiwali, ale wciąż grali. I to jak! Przy takiej eksplozji muzycznej radości finałowe oroshi zeszło na drugi plan.

Występ japońskich muzyków uświadomił Bartowi, że muzyka to przede wszystkim zabawa. Z goryczą pomyślał, że on sam podchodzi do grania zbyt poważnie. Perfekcja była ważna, lecz zapominając o radości płynącej z gry, trudno było wykrzesać radość u słuchaczy.

Po przedstawieniu Japończyków nadszedł czas dla amatorów. Setki, a może nawet tysiące walibębnowców czekało ze wzniesionymi pałeczkami, pałkami, maczugami na sygnał do rozpoczęcia łomotu. Werblista taiko schował pałki, unnosząc ponownie maczugę. Buuum... i zaczęło się! Werble, bębny i kotły z mocą zaatakowały uszy zebranych wkoło ludzi. W gruncie rzeczy trudno było nazwać to muzyką. Podstawowy rytm wybijał największy bęben, lecz opóźnienia pozostałych instrumentów okazywały się tak duże, że wszystko to przypominało raczej spadanie rozdartego opakowania grochu po blaszanym dachu niż jakikolwiek utwór muzyczny. Ale i bębniarzom, i słuchaczom to nie przeszkadzało...

MASZ ZLECENIE

Dalsze słuchanie kociej muzyki przerwała mu wiadomość od Ulricha. Prosił Barta, aby jak najszybciej zajrzał do jego lokalu. Nie znajdował się on zbyt daleko i po kilku minutach Bart przekroczył próg „Obst und Gemüse”. Dla turystów

nazwa ta była myląca, ponieważ sugerowała sklep z owocami i warzywami, stali bywalcy jednak wiedzieli, że to najlepsza piwiarnia w mieście. Ulrich Schneider zapożyczył ją od nazwy sklepu w Berlinie na Oranienburger StraÙe, który po upadku muru przekształcono w wyszynk, nie zmieniając szyldu. Ulrich mieszkał przy tej ulicy i będąc chłopcem biegał do warzywniaka po ziemniaki i marchewkę. Natomiast później, już jako młodzieniec, chodził tam na piwo. Teraz miał dziewięćdziesiąt lat i nalewał piwo w Dawapolis.

- Jest drobne zlecenie - rzucił, ledwo Bart rozsiadł się wygodnie przy barze w pobliżu rzędu nalewaków do piwa. Gospodarz wciąż wycierał kufle, jakby go nie widział. „Co było tak pilnego, że nie mogło poczekać, aż przepłucze gardło?” - skrzywił się Bart, rozglądając po lokalu. Po sali krążyły walcowate roboty czujnie wypatrujące pustych kufli, by dolać piwa, lecz Bart zawsze siadał przy nalewakach obsługiwanych przez człowieka. Co prawda musiałeś wtedy dłużej czekać, lecz mogłeś pogadać o pogodzie albo stłuczce clevercarów na rogu ulic. Teraz Bart stawiał się tu na wezwanie samego właściciela. Dlaczego więc ten zwlekał z obsługą?

- Chcesz, żebym ci pomógł, a nawet nie należesz mi piwa? - zapytał z wyrzutem. Powstrzymał jednak złość, gdyż piwiarnia Ulricha często zamawiała koncerty jego kapeli i Bart nie chciał zrazić mecenasa.

- Będziesz musiał polecieć kopterem - wyjaśnił starzec, wciąż nie sięgając po kufel. - Poza kopułę.

- Mam wyjść na deszcz? - zapytał z niedowierzaniem Bart, spoglądając tęsknie na nalewak. Ulrich nie odpowiedział.

Do lokalu wszedł naraz niedźwiedź syryjski, ledwo mieszcząc się w drzwiach. Miał krótkie nogi, ale jego potężny korpus i duży łeb sprawiały, że mierzył grubo

ponad dwa metry wzrostu. Kołysząc się na boki podszedł do baru i zasiadł na zbyt małym stołku, tak że fałdy tłuszczu spływały mu poza siedzenie. Prawą łapą wskazał na nalewak ciemnego piwa. Miał starannie wypielęgnowane, jasnobrązowe futro pachnące drogimi perfumami oraz pazury spiłowane na trzy centymetry. Zawieszony na jego szyi łańcuszek wskazywał, że należał do wypożyczalni zwierząt. Z tej odległości Bart nie mógł zobaczyć, do której, ale tym gatunkiem niedźwiedzi dysponowały jedynie dwie wypożyczalnie: Benjamin Corbetta oraz Xiuqiu Shubiao.

Benjamin Corbett, rudy brodacz nigdy nie zdejmujący korkowego kapelusza, prowadził wypożyczalnię zwierząt domowych i egzotycznych na podwórzu restauracji „Smaki Afryki”. Bart zastanawiał się czasami, czy klienci Corbetta nie zamawiają zwierzątek na talerz, a nie do mierzenia skór. To niewykłuczone... Jednak w większości interesowano się żywym towarem. Przeważnie wypożyczano je na szybki numer, lecz trafiali się prawdziwi miłośnicy przyrody spędzający w skórze braci mniejszych cały weekend lub wakacje. Zadbane futro oraz manicure wskazywały na Xiuqiu, szarą myszkę biznesu. To, że jej zwierzątko nie miało pcheł i pachniało jaśminowym dezodorantem, nie świadczyło, że wypożyczała przytulanki do łóżka. Sprawa przedstawiała się dokładnie odwrotnie: to były dzikie zwierzęta, nie odpady z zoo, jak u Corbetta. Kobieca natura nie pozwalała Xiuqiu udostępniać brudnych lub chorych zwierząt.

Ulrich sięgnął po cynowy kufel i zaczął nalewać piwo dla niedźwiedzia, nadal ignorując Barta.

- Dlaczego mi to robisz? Masz z tego prowizję? - Bart wrócił do rozmowy.

- Nie, to przysługa. Prosił mnie o to mój ziomek. Berlińczyk. Głupie sentymenty...

- No to mów, o co chodzi.

- Taka jedna blöde Kuh ma kłopoty ⁵ - zaczął wyjaśniać szczegóły. - Przyjechała na pokaz mody i wyszła trochę pobiegać. Chłopak chciał zgłosić jej zaginięcie, lecz wyjaśniłem mu, że lepiej by było, gdyby odnalazł ją ktoś spoza policji. Jak wiesz, oficjalne zgłoszenie zaginięcia poza kopułą nie jest mile widziane przez władze. Ty załatwisz sprawę dyskretnie.

Wyświetlił zdjęcie tej głupiej krowy. Miała przyjemną twarz i szczupłą sylwetkę oraz olbrzymi biust, ale w ocenie Barta była zbyt żylasta. Zjadłaby dużą porcję lodów z bitą śmietaną, a nie biegała w terenie. I to jeszcze w deszczu.

- Chce brać udział w maratonie?

- Nie, przecież mówię, że to blöde Kuh. Uważa, że to korzystne dla zdrowia - Ulrich zaśmiał się kwaśno.

Miał rację, uprawianie sportu niewiele miało wspólnego ze zdrowiem. Można było zbić fortunę, tylko że bez sterydów, dopalaczy, przetaczania krwi lub podrasowania genów nikt nie był w stanie osiągnąć rekordowych wyników. Nawet bieganie na wyżynach, które pół wieku temu dawało Etiopczykom niesamowity handicap, dzisiaj nie wystarczało, by odnosić sukcesy. Pozostawała zabawa w czysty sport, ale wtedy nie biegałeś i nie skakałeś na stadionach, bo przeciętne wyniki nikogo nie interesowały.

Ulrich podszedł z kuflem do niedźwiedzia, po czym zeskanował czytnikiem plakietkę naszyjnika. Dopiero wtedy postawił kufel na kontuarze przed spragnionym. Niedźwiedź oburącz chwycił szklanice, błyskawicznie uniósł ją do pyska i z chlupotem wlał sobie piwo do gardła. Przetarł pysk łapą i głośno beknął. Urażony starzec spojrzał z wyrzutem, a niedźwiedź uniósł obie łapy, przepraszając i zakrywając głowę. Pewnie chciał dostać drugie piwo i dlatego okazywał skruchę.

- Tam siedzi ten berlińczyk - Ulrich wskazał wystraszonego chudzielca w pstrokatym garniturze z

krawatem w różowe słoniki. – Powie ci dokładniej, co się stało.

Bart nie był tego pewien. Chłopak wydawał się przerażony. Ale chyba nie zniknięciem dziewczyny, a niedźwiedziem pijącym piwo.

– Co, co to jest? – zaczął odpytywać Barta, gdy ten usiadł przy jego stoliku.

– Jakiś miłośnik natury w skórze zwierzaka przyszedł na piwo – odpowiedział spokojnie Bart, lecz to nie uspokoiło chłopaka. Nie we wszystkich krajach zezwalano na wypożyczanie ciał zwierząt ludziom. Ruch obrony zwierząt w Europie miał silną pozycję i takie usługi były tam zabronione.

– Widziałem coś podobnego w sieci, ale myślałem, że oni biegają wyłącznie po lasach...

„Oj, człowieku, gdybyś ty wiedział, do czego ludzie wykorzystują możliwość podpięcia się do mózgów zwierząt” – pomyślał Bart. Napicie się piwa to w sumie dla zwierzaka nic nowego, w lesie też można trafić na sfermentowane owoce i upić się w sztok. Po ulicach biegały nie tylko psy i koty, ale również lwy, nosorożce i słonie, a dinozaury zaglądały ci do okien. Każdy mógł przywdziać prawdziwą lub sztuczną skórę wilka czy owcy, lecz nie człowieka. W tym przypadku trójca mędrców religii jednego Boga okazywała się zgodna – tylko On mógł stworzyć człowieka. Roboty mogły chodzić na dwóch nogach, manipulować dwoma rękoma, rozglądać się, mówić, ale nie mogły upodabniać się do ludzi. Kończyny musiały być pokryte plastikiem, czaszka przypominać głowę bałwana z marchewkowym nosem i oczami z węgla. Jedyny wyjątek stanowiło kalectwo. Wówczas mogłeś liczyć na kończynę pokrytą peptydową skórą czy więzadła stawu kolanowego nie z tytanu, a z tytoniu. W szpitalach czy ośrodkach pomocy dla dzieci lub starców pacjentów obsługiwały

postacie z bajek. Lecz zawsze ubrane. Ewentualnie z gęstym futrem ukrywającym atrybuty płci. Tak oczywiście przedstawiało się tak zwane stanowisko oficjalne.

Podziemie oferowało modele piękniejsze i o wiele sprawniejsze od ludzkich oryginałów. A jeśli nie chciałeś być bitym czy gwałconym przez roboty wyposażone w sztuczną inteligencję (lub samemu bić i gwałcić), mogłeś wypożyczyć ciało prawdziwego człowieka. W ofercie wypożyczalni Xiuqiu Shubiao byli też ludzie, w większości kobiety. Z certyfikatem zdrowotnym, wymuskanie tak, jak wirtualna akwizytorka Kuchni.

Czy Bart, wiedząc o podobnym procederze, i nie informując o tym władz, był w porządku? Z pewnością nie. Powinien zgłosić wykorzystywanie zwierząt do zaspokajania wyrafinowanych fantazji i chuci, choćby takich jak chęć przebieżki, by podczas galopu poczuć w grzywie pęd wiatru. Ale wiedział, że dopóki będą istniały pragnienia, będą też funkcjonowały wypożyczalnie.

W końcu mogli przejść do sedna sprawy, choć chłopak wciąż patrzył nieufnie w stronę baru.

Po kwadransie udało mu się wydobyć wszystkie potrzebne – jak i zbędne – informacje od roztrzęsionego chudzielca. Rowena Butler była Szkotką, pracowała w branży modowej i ceniła sobie aktywny wypoczynek, dlatego pomimo napiętego harmonogramu postanowiła pobiegać. Chudzielec przyznał, że nie zgodziła się na wszczepienie nakładki do osobistego komunikatora V-PC pracującego na falach Dawapolis, gdyż należała do naturalistów.

Prawdziwa blöde Kuh. Świat łączył się w systemie telefonii 9G na falach milimetrowych, który nie działał na terenie miasta, a nawet w odległości wielu kilometrów poza okręgiem pylonów windy. Była to ciemna strona używania pola magnetycznego do wystrzeliwania wagonów windy na

orbitę. Teoretycznie było one kierunkowe, wycelowane w niebo, jednak wciąż powstawały interferencje, które blokowały komunikację radiową. Miasto posiadało własny system łączności, G-eleven, pracujący na falach podczerwonych, którego nadajnik każdemu obywatelowi wszczepiano na stałe. Zrezygnowano z obrączek na przegubach rąk lub nóg, gdyż zbyt łatwo można było je ukraść, po czym wykorzystać do przeszmuglowania nielegalnych imigrantów. Wprowadzono bardziej szczelne – i drastyczne – metody. Chip wstrzeliwany w kręgosłup, tuż przy szyi, też można było usunąć – tyle że razem z głową. To się zdarzało, lecz zdecydowanie zmniejszało ryzyko oszustwa. Zwłaszcza że chip nie działał u osób z DNA różnym od nosiciela. Odwiedzający miasto musieli go sobie zaaplikować, lecz naturaliści wzbraniali się przed zespalaniem mózgu z cybernetycznym łączem i wciąż używali zewnętrznych środków łączności.

Bart zastanowił się przez moment. Rowena z pewnością zabłądziła, raczej nie groził jej atak terrorystów. Chociaż doszło do tego w pobliżu sektora muzułmanów, nie powinni mieć nic przeciwko szczupłej, umięśnionej dziewczynie w trampkach. Wizja grona dziewic oczekujących w raju nie wywoływała już u muzułmanów chęci mordowania niewiernych. W ostatnich latach wykroili spory kawałek tortu dobrobytu świata zachodniego i teraz woleli odpoczywać w bujanych fotelach i oglądając reality show, niż ganiać z maczetami po ulicach. Zwłaszcza w czasie deszczu.

Nie znając terenu, kobieta mogła wyjść poza strefę miejską. Szukając jej, i on będzie musiał opuścić granice miasta. A tego, o czym dobrze wiedział, nie lubiła policja. Wyjść z miasta mógł każdy, ale dostać się z powrotem nie było już tak łatwo. Bez osobistego identyfikatora – mission impossible, z identyfikatorem – jedynie w wyznaczonych miejscach. Granicy pilnowały cerbery z niskim poziomem